

przygniatającej większości – uważają, że zmarli nie mają im nic istotnego do przekazania. I to nawet ci, którzy „odeszli” ledwie wczoraj bądź przedwczoraj, a których wiedza, choćby, na temat najnowocześniejszych komputerów i oprogramowania „jest” (jeszcze) imponująca.

A przecież jeśli istnieje możliwość (Odyseusz pokazał, że istnieje) zwabienia z Pół Elizejskich dusz Sokratesa lub Platona, a najlepiej obu, żeby dowiedzieć się, czy ten pierwszy naprawdę wypowiedział kwestie, które ten drugi włożył mu w usta w niektórych spośród swych dzieł, chociażby w *Fajdrosie*. Gdyż zdania w tej materii, na przestrzeni dziejów, zmieniały się. Lecz mogłoby i tak się zdarzyć, że ów węzeł gordyjski, mimo obecności obu dusz, nie zostałby przecięty, gdyż jedna mówiłaby coś zdecydowanie innego niż druga.



Autorów piszących przed wiekami rzadko się obecnie czyta. Choćby dlatego, że szkolnictwo współczesne – czy to podstawowe, średnie i wyższe – temu nieczytaniu nie sprzeciwia się, a nawet do niego zachęca. Często jest to wynikiem lekceważenia dorobku naszych poprzedników (on w ten sam sposób, niestety, się odpłaca). „Bo cóż oni, nie mający pojęcia o Internecie, telefonii komórkowej i najnowszych serialach, mogą mieć nam istotnego do przekazania?”, pomyśli jeden z drugim miłośnik nowoczesności. Ale Bernard le Bovier de Fontenelle, wbrew powyższemu, sformułował myśl taką:

„Jesteśmy zobowiązani starożytnym za to, że wyczerpali niemal wszystkie istniejące możliwości tworzenia fałszywych teorii”.

Natomiast Mikołaj Brykczyński podał inny jeszcze powód celowości zaznajamiania się z pisarstwem czasów minionych: otóż nie jest wykluczone, że natknijemy się w nim na myśl intrygującą/nawatorską. Tę zaś po otrzepaniu z kurzu, możemy zaprezentować, wręcz jako własną. Dlatego Brykczyński napisał, że „Kopernikanizm powstał w typowy dla renesansu sposób – w wyniku odkrycia na nowo myśli starożytnej” (z *Mitu nauki. Paradygmatów i dogmatów*).

„Książka także czyta swoich czytelników w czasie rzeczywistym”. Ten cytat – zdaje się, że z *Dublińczyków* Jamesa Joyce’a – jest intrygujący. Proszę bowiem wziąć pod uwagę to, jaką wiedzę na temat swych czytelników zgromadziły starożytne papirusy i średniowieczne kodeksy, jakie dotrwały do naszych czasów. Nawet jeśli założyć, że i ich pamięć – tak jak i pamięć owych czytelników – była i jest zawodna. A także uwzględnić to, że są w niej, i to dosłowne, dziury powstałe za sprawą np. chrząszczy.

Wypowiedź Wernera G. Jeanronda zamieszczona w *Hermeneutyce teologicznej* wskazuje na ów wpływ, bardziej oczywisty, na nieco innej płaszczyźnie:

„Czytanie ma moc przekształcania. Może zmienić nasze rozumienie świata, a równocześnie nasz sposób rozumienia nas samych, czytelników”.

„Nie ma innego sposobu stania się człowiekiem myślącym, jak rozmiłowanie się w cudzej myśli”, w *Liście do studentów* napisał Józef Tischner. Tak więc jego zdaniem – a według mnie, niepodobna z nim nie zgodzić się – człowiekiem myślącym można stać się czytając tylko to, co zostało wcześniej, choćby wczoraj, napisane. Tylko przeszłość ma taką moc. Zaś teraźniejszość – a w jej przypadku należy być ostrożnym – moc taką zyska dopiero wtedy, gdy stanie się... czasem minionym (choć faktem jest, że stanie się to bardzo szybko). O czasie nienadeszłym nie ma co mówić. Szkoda słów...

Z wsłuchiwania się w głosy z przeszłości, jak dotąd niemiłkające, zrezygnować nie możemy (niestety, pomysły tego dotyczące, zaczęły przechodzić w fazę realizacji). Mamy bowiem tylko przeszłość (współczesność jest bowiem, nie tylko jeśli chodzi o kulturę, jedynie bardzo cienką warstwą). Na tym, co ona ma do przekazania, i co wciąż – na szczęście – przekazuje, opiera się nasza kultura. I tylko na tym. Kultura jest bowiem podtrzymywana ożywczym głosem z przeszłości (najwyższa pora nazwać rzecz po imieniu: jest to, jakby nie było, głos z zaświatów); on w żadnym razie nie jest rykiem. Z całą pewnością z przeszłości najodleglejszej, dociera do nas ledwie szept wymagający uważności. Rezygnując z kultury, my, ludzie zaczynamy sprowadzać się

– na własne życzenie – do poziomu/do roli operatorów mnóstwa urządzeń elektronicznych (w tym względzie już następują daleko idące zmiany: człowiek jako operator urządzeń jest już zastępowany przez... inne urządzenia). Życie operatora zostaje wzbogacone... dodatkami w postaci kulinariów i organizacji wakacji. W rezultacie czego bycie człowiekiem sprowadza się do tego, co Gottfried Benn, dosadnie i lakonicznie, tak podsumował:

„Głupim być i mieć pracę – oto szczęście”.

Do tego, aby być sprawnym operatorem, wiedza o tym – na przykład – co na temat prawdy mieli do powiedzenia Arystoteles bądź Tomasz z Akwinu, w żadnym razie nie jest potrzebna. Gdyby jednak doszło do rezygnacji z poznawania wszelkiej pozornie niepraktycznej wiedzy, z zaznajamiania się z – choćby z tymi najbardziej podstawowymi – pozycjami z zachodniego kanonu literackiego, co by z człowieka pozostało? Jego umysłowość, w postaci wiedzy, wyobraźni, wrażliwości, zostałaby potężnie zubożona. Może nawet wyczyszczona do zera? Lecz nie miałoby to żadnego wpływu na sprawność jego palców. Nie wykluczone, że ta zwiększyłaby się jeszcze bardziej. Natomiast niektóre, konkretne, dotychczasowe funkcje umysłu/mózgu, jako nieużywane, zaczęłyby zamierać (w niektórych przypadkach może to już się dzieje). Czy można by wtedy jeszcze mówić o człowieku, przynajmniej takim, jaki istniał dotąd? Z całą pewnością nie wyglądałby na jaskiniowca: mógłby być modnie ubrany, najedzony, mieszkać wygodnie, może nawet żadne choroby by się go nie imały. Ale już po kilku minutach „rozmowy” nabrałoby się podejrzeń, a po kilku kolejnych pewności, że ma się jednak do czynienia z troglodytą bądź przedstawicielem jakiegoś gatunku człekomopodobnego...



Dariusz Pawlicki